

Nie spóźnij się, tato...

Ocknął się na chwilę, a wtedy w jego niebieskich oczach zobaczyłam moje dzieciństwo. Pajdy chleba posypane cukrem, choinkę wyciętą w lesie, złote pierścionki, samowar i kakao przywiezione z byłego Związku Radzieckiego, kiedy pracował tam na budowie. To wydarzenie z kakao z mamą i rodzeństwem wspominamy do dziś.

W latach osiemdziesiątych ojciec, poczciwy gospodarz, przy pierwszej próbie handlu kilkunastu paczek kakao na wiejskim bazarze, wpadł. Nim zdążył rozpakować towar, stanął przed nim mundurowy i dwóch cywilów. „Pozwolenie na handel! A więc zabieramy do depozytu”. Rewizja osobista. W portfelu trzymał ruble. Jest potwierdzenie. Walciarz, handlarz, spekulant. Oniemiały patrzył w oczy funkcjonariusza rozkładając bezradnie ręce. – Panie, to jest moje, ja sprzedaję swoje bez zysku, na wesele syna. Chyba swoje mogę sprzedawać, a te ruble to moja ciężka praca. Na nic się zdały tłumaczenia. W domu przeszukanie, przerażone oczy mamy. Zaprowadziłam milicjanta nawet do piwnicy, niech tam sobie szuka, czego chce. Oprócz bańki z mlekiem i ziemniaków w piwnicy nic nie było, ale z bożej łaski handlarz, mój ojciec wyszedł na kombinatora i szachraja. Po kilku miesiącach sąd umorzył sprawę ze względu na niską szkodliwość czynu. Od tamtego czasu nigdy już nic nie zrobił, co by było wbrew prawu. Od zawsze, jak sięgam pamięcią, fajek nie palił, wódki nie pił, nigdy o nikim nie mówił źle.

Po ukończeniu liceum nie dostałam się na studia. Żeby mieć jakikolwiek kontakt nauką, zdecydowałam się kształcić w studium medycznym, co bardzo ucieszyło, szczególnie dziadka i tatę, bo liczyli w przyszłości na opiekę. Nie pracowałam ani dnia jako pielęgniarka, od dziecka chciałam zostać nauczycielką. Bez żalu, że zostawiam w Tarnobrzeskim rodziców i czworo rodzeństwa, spakowałam się i wyjechałam z koleżanką do woj. białkopodlaskiego, gdzie zatrudniano nauczycieli bez kwalifikacji. Za Lubartowem zatrzymałyśmy się w pierwszej gminie Działyń obok szkoły. Dyrektor nakarmił nas i zaproponował uczenie dzieci we wsi Amelin. Uwierzyłam, gdy dostałam pismo „O ile obywatelka nie zmieniała zdania, czekam 19 sierpnia 1980 roku w Zbiorczej Szkole w Siemieniu w celu podpisania umowy o pracę”. Tam zastał mnie stan wojenny.

Przyjechałam do rodziców w środku nocy. Oboje spali w dużym, małżeńskim łóżku w przedzielonej zieloną kotarą kuchni.

– To ty? – mama po prawie roku rozłąki mnie nie poznała. Z moich długich brązowych loczków fryzjer tak jak chciałam wyrzeźbił króciutką z rudymi włosami na sztorc fryzurkę.

– Ojciec, ojciec, obudź się, zobacz, co ona z siebie zrobiła. Żałoba w kraju, a ta wygląda jak k... spod latarni.

– Połóż się, Haniu, spać, odpocznij dziecko – usłyszałam tatę.

Na drugi dzień napisałam o nim wiersz: Tato jest czarodziejem / spojrzeniem dzieli pole, kołyskę potomnym chce wyhuścić / Twarda ziemia / go nie przestraszy / Czas omija i siebie, / a do mnie mówi: / dziecko...

Ciągnęło mnie do taty, mamy, siostry i trzech braci. Po siedmiu latach rozłąki wróciłam w rodzinne strony.

Ponad dwadzieścia lat później przy szpitalnym łóżku nie mogłam od niego oderwać oczu. Kiedy podszedł ordynator, ojciec uczynił znak krzyża.

– Nie jestem Bogiem – usłyszałam od lekarza.

– Nie odchodź, tato, tak bardzo cię kocham – objęłam go mocno.

– I ja was kocham...

Jeszcze do tej pory słyszę te słowa. Choć wtedy spuściłam oczy, wstydząc się egoistycznego wyznania. Tato kochał nas wszystkich, a ja chciałam mieć jego miłość na wyłączność.

W autobusie tłok, zwinęłam się w kłębek na siedzeniu przy oknie.

– Zabierz mi, Boże, tyle lat, ile chcesz, ale nie zabieraj mi jego albo daj mi czas, bym przygotowała się na rozstanie – łkałam bezgłośnie.

Za kilka dni miałam wrócić do pracy.

– Proszę przedłużyć mi urlop, tato jest w szpitalu, stan ciężki, dopóki, sytuacja się nie wyjaśni, powinnam być z nim – wydukałam do przełożonego.

– A ile ojciec ma lat? Osiemdziesiąt osiem? Piękny wiek, no cóż, rodzice chorują, umierają, taka jest kolej rzeczy, a my musimy pracować – podkreślił z naciskiem.

A ja nie byłam w stanie normalnie pracować.

Wyszłam z gabinetu ze ściśniętym gardłem. Jeszcze tego samego dnia lekarka psychiatra wypisując mi zwolnienie na trzy tygodnie powiedziała: – ojciec rzecz święta.

Szpital, dom, badania, rozmowy z lekarzami o nadwyrężonym sercu, kłopotach z nerkami. Czuliśmy przy jego łóżku na zmianę. Dzieci, wnuczki, synowe. Przez kilka tygodni odmawiał jedzenia, nie smakowało mu ani domowe, ani szpitalne. Podłączony do kroplówki, cewnika, ciągnął za plastikowe rurki zadając sobie ból.

– Jak mnie stąd nie zabierzecie, pójdę na piechotę do domu, przez ten las – krzyczał na mnie i brata spoglądając przez szpitalne okno. W głębi serca czułam, że przetrwa, wróci i usiądzie na swoim drewnianym krześle.

O historii tego krzesła wyrzucanego, a to raz do śmietnika, a to na strych wspominała mi mama.

– Nie wiem, co was tak ciągnęło do tego stołka. Każdy chciał na nim siedzieć, nawet zabierał go na podwórko i rzucał nim w kury i gęsi. To Wiesiek najczęściej wymyślał z tym krzesłem różne zabawy. Pewnego razu podstawił go siostrze Ewie z tyłu i wydawał komendy: wstań, usiądź, wstań, usiądź. W pewnym momencie odsunął krzesło i gruchnęła na podłogę. A że była pulchniutka, długo nie mogła się podnieść. „Jak mu nie dasz nauczki, to ja ci spuszcze łanie” – mama wpadła w szal, krzyżąc do ojca. Trzęsącymi rękami wyciągnął ze spodni skórzany pasek i z całych sił walił metalową sprzączką w... ścianę. Wiesiek postawił siostrę na nogi, pogłaskał ją po głowie i schował się pod pierzynę.

Matka widocznie nie mogła patrzeć dłużej na krzesło, wyrzuciła go do śmietnika, miało być na opał. Zapomnieliśmy o jego istnieniu.

Tato przytargał to samo krzesło ze strychu do kuchni, kiedy zaczęło szwankować mu zdrowie. Zniszczone, niepasujące do nowych mebli.

– Nie spaliłem go, ma tyle lat, co ja, żyje i ma się dobrze, niech stoi w kącie, to moje krzesło – usłyszeliśmy.

Krótko potem, po remoncie i malowaniu domu, krzesło zawędrowało na poddasze, a schorowanego ojca zabrano pogotowie do szpitala.

Napisałam wiersz o tym krześle: Upominam się o niego / pragnę oparcia / bratniego siedziska / o mocnych nogach / drewnianym obliczu / ko-

chającego dotyk. / Wiem, że jest obok / położę na nim rękę / uwolnię ze strychu / choć jego nazwa / rodzajem nijakim / uginać będę kolana / przyniosłam, jak swoje / zostanie na służbie / do nowej historii / uszu, języka i oczu /.

– Możecie ojca zabrać do domu – powiedział lekarz.

Usadowiliśmy tatę na jego drewnianym krześle przy stole z talerzem zupy. Gdy zatrzymał wzrok na łyżce, wstrzymałyśmy oddech. Kiedy trzęsącymi rękami podniósł ją do ust i przełknął supę – rozplakałyśmy się ze szczęścia. Swoim zwyczajem nie zapomniał połamać chleba. Nie minął tydzień, siostra wezwała karetkę pogotowia na ratunek. W szpitalu nie mógł się podnosić o własnych siłach, nieobecne oczy wpatrywały się najczęściej w sufit. Nie rozumiał, co się do niego mówi. Raz tylko, kiedy stanął przy jego łóżku Michaś, najmłodszy wnuczek, jego pomarszczone powieki zadrżały, otwarty się szeroko, z oczu popłynęły łzy. Na jego ustach pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

Pojawił się też cień nadziei. Lekarz powiedział, że tylko operacja może mu przedłużyć życie. Najstarszy brat Wiesiek przekonywał czworo swojego rodzeństwa i mamę, żeby nie skazywać go na ból. Ja chciałam ratować go za wszelką cenę, byle był z nami. Rzuciłam się w wir pracy, ale myśli o ojcu leżącym jak kłoda w szpitalu, nie dawały mi spokoju.

– Proszę księdza, co mam zrobić, tato leży śmiertelnie chory w szpitalu, 60 km dalej od mojego domu i pracy.

– Odwiedzaj go jak najczęściej, możesz krócej pracować, na to szef powinien się zgodzić...

Prawie codziennie w samo południe wsiadałam do busa. Szybko podbiegałam do jego łóżka, ścisnęłam z całej siły ręce, szczyptałam delikatnie policzki, aż na jego twarzy pojawiał się grymas bólu. Upatrywałam w tym powitaniu dobry znak, nie cierpi. Z dnia na dzień był jednak coraz słabszy i tracił siły. Odmawiał jedzenia, nie rozumiał, co się do niego mówi. Wierzyliśmy w moc kroplówki, jakby trochę glukozy i soli fizjologicznej mogło go uzdrowić. Pierwsze odleżyny, kłopoty z sercem, nerkami. Zapadał w głęboki sen, a jego charczący oddech doprowadzał nas do paniki. Przy próbie kolejnego budzenia usłyszałam: – zostaw, bo cię kopnę... Było to pierwsze grubiaństwo, które usłyszałam od ojca. Bo tato nie obciążał nas brudnymi słowami. Tak,

tato, ponieważ użycie słowa ojciec jest niefortunne, pamiętamy go jako tatę. Nigdy żadne z nas też nie powiedziało: – tatusiu, mamusiu.

Nie godziliśmy się na jego umieranie. Najpierw gołenie przez siostrę lub brata, potem trójka lub czwórka jego dzieci usadzała go na wózek. W łazience myłam go, jego ręce głowę, pupę i nogi. Pachniał życiem.

Dwudziestego szóstego września 2008 roku tuż przed godziną 9 zadzwoniła do mnie siostra.

– Ordynator powiedział, że dziś tato umrze.

Bez pukania wpadłam do gabinetu mojego szefa.

– Muszę teraz jechać do szpitala, z tatą jest bardzo źle.

– A co będzie ze stroną internetową? Miałaś napisać informacje.

– Mam gdzieś stronę internetową.

W busie znajomy kierowca:

– A co dziś tak wcześniej do szpitala?

Odwrociłam głowę w stronę okna.

Nie pamiętamy tego wydarzenia, nie było nas jeszcze na świecie, wspomina go tylko mama. W upalny dzień lata brat, kilkuletni wówczas Wiesiek, od rana uganiał się w zagrodzie za żrebakiem. Przy kolejnej próbie złapania go za ogon młody koń uderzył go kopytem w sam środek czoła. Nikt tej sytuacji nie widział, ale we wsi słyszeli rozdzierający krzyk skrzywdzonego dziecka. Dotarł też do ojca, który kosił żyto w polu. Nie zastanawiał się. Tak jak stał, wziął krwawiącego syna na ręce i niósł pięć kilometrów do najbliższego ośrodka zdrowia w Bogorii. To cud, że uratowano Wieska; do dziś na jego czole widać ślady kopytka. Śmiejemy się, że już w latach pięćdziesiątych koń nauczył go rozumu.

Na tej drodze znaczonej krwią dziecka wsiąkającą w piasek ojciec własnymi rękami postawił kapliczkę, która stoi do dziś.

Ojciec nigdy nie podniósł ręki na nikogo, nie chciał zabijać małych kociąt, które rozmnażały się przy płotach, tak jak to było w zwyczaju na wsi.

– Zrób wreszcie coś z tą kocicą, bo jej sama łeb ukręcę – mama wrzeszczała na całe podwórko. Mruknął pod nosem, schował kocicę pod kapotę i wywiózł kilkadziesiąt kilometrów do Sandomierza, gdzie pracował. Jeszcze tego samego dnia kocica wróciła do domu. Obolała, spuchnięta położyła się przed progiem. Już nie podniosła się z tego miejsca.

Otoczyliśmy go szczelnie ciałami, wzrokiem. Żona, wnuki, dzieci. Jakieś poprawianie prześcieradła, poduszki, pacjentkę z sąsiedniego łóżka oddzielono kotarą. Najbardziej szlochała mama. On umierał po jednej stronie, my rozpaczaliśmy po drugiej. Mijały godziny, oddychał głęboko i coraz głośniej.

– Mam coś do załatwienia, przyjadę zaraz – pierwszy odezwał się brat Wiesiek.

– To i ja na chwilę... – powiedziała jego żona.

– Chmurzy się, pierzyny wietrzą się na podwórku – usłyszałam od mamy.

– Jedźcie, będę dzwonić... – odparłam.

Zostałam z tatą sama, zegarek wskazywał kilkanaście minut po szesnastej. Wyciągnęłam z torebki obcinacz do paznokci, pilniczek.

– Jak cię zabol, to krzyknij na mnie, tak jak zawsze to robiłeś – powiedziałam mu do ucha. Dotykałam każdy palec, po palcu, najpierw u rąk, potem u nóg. W pewnym momencie skrzywił się, to ten ostatni paznokieć przy małym palcu nagle zsiniał. Obejrzałam się, za moimi plecami stał ksiądz.

– Tak, tato ma ostatnie namaszczenie – pokazałam święty obrazek na półce. – Chcę zostać z nim sama...

Zadzwoniłam do mojej siostry – gdzie jesteście?...

– W pobliżu szpitala.

Wyciągnęłam różaniec. Gdy skończyłam się modlić, on przestał oddychać.

Mój ojciec nie żyje / Ale uwierzę w to naprawdę, / kiedy Matka przestanie Go szukać / przez tży i bezsenne noce / i kiedy nie będzie pytać: / Gdzie tak długo byłaś...? / I że trzeba Go przyprowadzić, / bo tu jest Jego miejsce/.

Był grudniowy, śnieżny powszedni dzień. Nie pamiętam dlaczego akurat mnie ojciec zabrał, by odwiedzić matkę, która leżała na porodówce, gdzie urodziła piąte dziecko – trzeciego syna. Droga do oddalonej od domu o prawie pięć kilometrów Bogorii wiodła przez lasy i pola. Choć miałam dopiero dziewięć lat, zapadła mi już głęboko w pamięć. Co niedzielę bez względu na pogodę mama wyprawiała czwórkę rodzeństwa do znajdującego się tam parafialnego kościoła. Nie czułam z tego powodu żadnej radości. Bałam się zarośli, wybiegających

z nich psów, potykałam się o własne buty, a przy przeskakiwaniu wijącego strumyka z kamienia na kamień zazwyczaj wracałam do domu ubabrana błotem po pachy.

Tamtego zimowego dnia, kiedy ojciec miał ujrzeć po raz pierwszy kolejnego potomka, a ja brata, nogi same mnie niosły tą drogą. Potykałam się o własne nogi próbując go dogonić, ale to nie było łatwe. Wreszcie uchwyciłam poły jego lichej jesionki.

– Nie martw się, tato, jak dorośniemy, będziesz bogaty. Wiesiek da ci stówkę, Ewa też, ja, Adam i braciszek, który się urodził – wyliczałam na palcach.

Mocno przytulił mnie do siebie, pogłaskał po głowie i wziął za rękę. Nagle stał się radosny i zaczął pogwizdywać. Od tamtej pory kolejny potomek rodu Zielińskich stał się oczkiem w głowie ojca. I wyróżniał go przy każdej okazji.

Ojciec nadal, niezależnie od mojej woli, przychodzi do mnie wierszami, inspiruje, z każdym nowym wersem poznaję go na nowo. Trzymam jak talizman lusterko, które znalazłam w jego marynarce, noszę przez niego podarowane złote pierścionki przywiezione z Węgier. Ten mały sygnecik miałam wymienić na kolczyki w kształcie gwiazdek, przy trzecim podejściu u jubilera zrezygnowałam. Chyba taka jest Twoja wola, tato.

Nigdy nie podpowiadał, jak ma wyglądać nasza przyszłość, ale mieliśmy żyć uczciwie, poszukiwać prawdy i mądrości.

Nasza prawda mieszka
dalej, niż się wydaje.
Pragnienie jej poznania
oddycha dzieciństwem,
zabawą w chowanego.
Szukanie siebie nawzajem
przetrwa w cieniu
podwórkowych wspomnień.

Dobrze byłoby z nią iść,
tak ramię przy ramieniu.
Zostajemy w tyle,
otaczają nas lęki o jutro,
dzień dobry, dobranoc.
Pragniemy uwolnić się
od składanych życzeń
nie do spełnienia.
W wędrówce ziemi do nieba
wyciągnięta pomocna dłoń,
ciepła od dobrych uczynków
jest o krok od prawdy.
A zaciśnięta pięść
biegnie do nas na skrót.

Jak was odróżnić nim
przybieracie jakiś kształt?

(Nasza prawda)

Mama przy każdej okazji powtarza, że małżeństwa, które są ze sobą tyle lat, powinny umierać razem. Ostatnio zapytałam najmłodszego brata, co najbardziej utknęło mu z kontaktów z tatą.

– Miałem może sześć lat, kiedy tato z samego rana odbierał mnie ze szpitala w Staszowie. Trzeba było iść kilka kilometrów na przystanek, gdzie raz na dzień kursował autobus w stronę domu. Obaj z tatą byliśmy bardzo z siebie zadowoleni, bo udało nam się dotrzeć do domu na obiad. Najstarsza córka Ewa wspomina ojca często, to ona przez wiele lat była przy nim najbliższą, opiekowała się nim najlepiej, jak tylko potrafiła. Mama nie miała cierpliwości, trudno jej było pogodzić się z tym, że jej żwawy Józek o krzepkich nogach z dnia na dzień tracił pamięć i większość czasu przesypiał. Ojciec od mamy był starszy o piętnaście lat; kiedy podupadał na zdrowiu, ona, urodziwa Jagódka, gospodarzyła na ośmiu hektarach ziemi za dwoje, żeby dzieci wykształcić.

* * *

W rodzinnym domu nadal rzeczy taty leżą w zasięgu oczu; często wkładam jego czapkę z daszkiem, siadam na jego drewnianym krześle: Zmrok się tu gdzieś kręci, / a ty tam za górą w lesie. / Bez dachu nad głową, / choć niebo zaraz pęknie. / Znow przyjdiesz mokry, / od tych moich łez. / Noc pochrapuje ciepła, / pod pierzynką dobre sny / A rano ma oczy czyste, / jak pacierz, chleb i woda, / którymi mnie karmiłeś. / Do wczoraj tak było. / Nie spóźnij się tato, / na me narodziny.

Anna Zielińska-Brudek

Cytaty poetyckie pochodzą z tomów wierszy Autorki:
Gorzkie owoce i Tymczasowi.